



Rzemieślnicy Polacy w Londynie.

sprzętów bambusowych, lasek i parasoli, zresztą nie grupują się w żadnej gałęzi przemysłu. Jest między nimi znaczny procent piekarzy, ale nie brak ani krawców i szewców, ani cieśli i mechaników, ani zecerów i... reformatorów, a wszyscy robią wrażenie łanu różnego zboża, zabarwionego silnie kąkolem: rozprężonego ciała, w którym krew nieprawidłowo krąży. Wielkopolanie i Warszawianie przedstawia się najkorzystniej: kilku fryzjerów z nad Warty posiada sklepy na zachodzie miasta, ale gdzież przypatrzeć się tym ludziom, tonącym w morzu obczyzny?

„Towarzystwo polskie“ za swych najlepszych czasów nie liczyło więcej nad pięćdziesięciu członków, inne zaś stowarzyszenia prowadzą żywot efemeryczny. Jedynie wieczorki i przedstawienia teatralne zwabiają liczniejszy zastęp ludzi do siedziby „Towarzystwa.“ Na ten stan rzeczy wpływa rozproszenie żywiołów, ich nierówna skala umysłowa, oraz brak ludzi odpowiednich do sterowania Towarzystwem. Tu zatem otwiera się wdzięczne pole dla misji polskiej.

Kościółek przy Cambridge-road jest niemal jedynym łącznikiem dwóch tych gałęzi naszej rękodzielniczej kolonii, przy której stoi tylko niewielu Polaków z innej warsty społecznej. Spoczywa przeto na misji ciężki obowiązek. Lekeye katechizmu i śpiewu chóralnego, współdziałalność ze stowarzyszeniami, opieka nad przyjezdnymi, którzy, wylądowawszy w porcie obcego, ogromnego miasta, stają się często łupem oszustów - oto kilka paragrafów programu, przekraczającego z natury rzeczy sferę spraw religijnych. Ale prócz księdza wchodzi w skład misji kilka światłych, władających polskim i litewskim językiem sióstr Nazaretanek, ożywionych miłością ludu. I wogóle w obecnym położeniu misja posiada wszelkie warunki, aby sprostać zadaniu i oddać cenne usługi tej kolonii, która stanowi rację i podstawę jej bytu i z taką ufnością skupia się pod jej skrzydłami przed wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej.

M. W.

Fryderyk Verdinois, z pochodzenia Francuz, jest już dziś Neapolitańczykiem. Jego pradziad przyszedł z królem Muratem z Verdun nad niebieską zatokę i tu się osiedlił, zaś tłumacz „Quo vadis“ i „Rodziny Połanieckich“ urodził się w r. 1844 w Casercie pod Neapolem, słynnej ze wspaniałej rezydencji Bourbonów, zamienionej dziś na szkołę wojskową. Caserta to jak nasz Łobzów pod Krakowem, tylko że ten ostatni zatracił zupełnie dawny charakter.

Znać też po Fryderyku Verdinois, że

nie jest Neapolitańczykiem; patrząc na niego, widzi się raczej francuskiego oficera, o uśmiechu trochę złośliwym w spokojnych, choć przenikliwych oczach; nie masz w nich wesołej dobroduszości, ani gorącego temperamentu Neapolitańczyka, który urodził się u stóp Wezuwiusza.

Verdinois zna jednak Neapol. Z czterech tomów nowelek i obrazków z życia miejscowego

